

» **„The Human Body Exhibition” to wystawa, która podbiła Polskę.** Dotąd obejrzało ją ponad 100 tys. osób – głośną wystawę Marka Rothki w Muzeum Narodowym 20 tys. Jest popularna do tego stopnia (mimo iż bilety kosztują 50 i 60 zł), że czas trwania ekspozycji w Gdańsku i Krakowie przedłużono o dwa miesiące. W dziewięciu częściach galerii pokazane są ludzkie ciała, rozkrojone i w różnych fazach rozwoju i ruchu. Świetnie zakonserwowane tkanki dają wgląd w strukturę ludzkiego organizmu, pokazują też, jak pracują poszczególne narządy

Drugie życie trupa

Hitem lata w Polsce okazała się wystawa, na której pokazywane są ludzkie zwłoki. Profesor Zbigniew Mikołajko tłumaczy, dlaczego chcemy oglądać śmierć.



Rozmawiają
IGA GIERBLIŃSKA
KATARZYNA OLCZAK

Wystawę „The Human Body Exhibition” zobaczyło ponad 100 tys. Polaków. Nie dziwi to pana?

Tego rodzaju wystawy – spektakle nie tylko martwych ciał ludzkich, ale i zwierzęcych – jak „Piramida zwierząt” Katarzyny Kozyry czy instalacje Maurizia Cattelana – nie są czymś nowym. Przywracają raczej archaiczne doświadczenie, które pozornie wyrugowaliśmy z naszego schludnego współczesnego świata, ale w porównaniu z przeszłością są one zaiste grzeczne.

Mówi pan „spektakle”. Dawniej przyjmowały bardziej wyrafinowane formy?

Publiczne egzekucje, hańbienie zwłok i wystawianie ich na pokaz były widowiskami, których okrucieństwa i okropieństwa dzisiejszy człowiek nie umie sobie nawet wyobrazić. I przyciągały tłumy. 18 sierpnia 1634 r. na potworną mękę i spalenie księdza Urbaina Grandiera, oskarżonego nikczemnie przez osławioną matkę Joannę od Aniołów o konszachty z szatanem i czary, przybyły do Loudun chmary gapiów. W XVIII-wiecz-

nym Londynie nawet sprzedawano bilety na wieszanie na szubienicy Tyburn i cieszyły się one wielkim wzięciem. A w XVII stuleciu w Anglii było ponoć aż 40 tys. szubienic. I z reguły zwłoki, dla większej trwałości polakierowane smołą, wisiały na nich przez całe lata w specjalnych żelaznych klatkach. Takie praktyki miały miejsce jeszcze w wieku XIX. Co więcej, angielskie prawo nakazywało od 1752 r. nie tylko wieszanie złoczyńców, ale i ich pokrojenie.

Co było następnym krokiem?

Między 1803 a 1818 r. pojawiły się widowiska jak z „Frankensteina”: na oczach publiki uczeni medycy przepuszczali przez trupy powieszonych prąd elektryczny. Pobudzeni tak nieboszczycy wykrzywiali się, kopali, wskazywali palcem ludzi z widowni. Jedni widzowie mdleli, inni – przekonani, że dokonało się rzeczywiste zmartwychwstanie – domagali się powtórnej egzekucji.

Tak się bawiła gawiedź, a moiżni?

W 897 r. w Rzymie jeden z papieży wyciągnął z grobu swojego poprzednika Formo-

zusa, ubrał w pontyfikalne szaty i urządził mu trzydniowy formalny proces. Po czym z Formozusa zwleczono papieski strój, obcięto mu trzy palce, „które błogosławiły lud”, a zwłoki włożono po ulicach i wrzuciono do dołu dla ubogich. Papieskiemu oprawcy jeszcze było mało: po paru dniach wygrzebał trupa, kazał go pociąć na kawałki i wrzucić do Tybru. Nazwano to później trupim synodem. Ludzie rzeczywiście chcieli i chcą to oglądać. Wszystkie wypadki czy katastrofy gromadzą gapiów, często bezczelnych i na swój sposób beznamietnych, a na pewno nieświadomych, że sprowadziło ich w takie miejsca tabu związane ze śmiercią.

Martwe ciało to najstarsze tabu?

Pewnie tak, z tym że łączy ono tę swoją dawność i pierwotność z tabu erotycznym, związanym z płodnością. Płodność jest najlepszą odpowiedzią na śmierć – stąd takie powiązanie. Wkraczamy tu w najwyższe tajniki życia. Trup musi być tabu, ponieważ znajduje się jakby na granicy między życiem a nicością. Niesie więc wiele znaczeń, które niepokoją i fascynują, czynią zarazem i świętym, i przeklętym, groźnym i ciekawym. Z tego względu te miriady praktyk, które rozmaite kultury i religie wyczyniają ze zwłokami, wynosząc je na ołtarze i wyświęcając, albo też przeciwnie – znieważając. A często te dwie postawy mieszają się z sobą. Wszystko to antropologowie nazywają dość nieładnie, ale trafnie – drugim życiem trupa.

Niedawno ukazała się pana książka „We władzy wisielca”. Za chwilę będziemy mogli przeczytać jej kontynuację. Pana też fascynuje martwe ciało?

Raczej interesują mnie odtrąceni, potępieni, przegrani, naznaczeni.

Gdzie w kulturze szukał pan inspiracji?

Zaczął się od Rembrandta i jego doktora



”
Nowoczesna kultura próbuje śmierć obłąskawić, zakłamać. Tworzy płytkie iluzje i w efekcie powstaje popkulturowa baśń z supermarketu

Tulpa. Początkowo szedłem tropem wiersza Grochowiaka „O lekcji anatomii Rembrandta”. Lekcje anatomii – te, na które zezwalano w dawnych teatrach anatomicznych – przeprowadzano wyłącznie na wisielcach. Po pierwsze, śmierć wisielcza była haniebna. Po drugie, ciało wisielca było poniekąd doskonałe, ponieważ nie było niczym uszkodzone i można było bez ograniczeń pracować na nim skalpelem. Szydź z tego chociażby Grochowiak, który czyta obraz Rembrandta prawidłowo, jako demaskację mieszczańskiego rozumu u władzy.

Widział pan kiedyś wisielca?

Parę lat temu powiesił się mój doktorant. Poza tym ratowałem wisielców w akademiku na Kickiego, gdzie mieszkałem. Najczęściej zabierano tych nie do końca powieszonych czy nie do końca otrutych do szpitala i płukano im żołądki. Niezależnie od tego, czy próbowali podciąć żyły, czy coś zeżreć, czy się powiesić – płukano im żołądek. Po to, żeby odstręczyć ich od prób samobójczych. Taka pedagogiczna praktyka.

Co w panu zostaje po spotkaniu z takim wisielcem?

To straszne doświadczenie. Zwłaszcza towarzyszące mu okoliczności fizjologiczne są obrzydliwe.

Wisielec kojarzy się silnie ze środowiskiem wsi i mniejszych miast.

Ja jestem z małego miasta na Warmii. Jeszcze jako dziecko zetknąłem się tam po raz pierwszy z wisielcami. Chłopi pod Lidzbarkiem wieszali się w stodołach. Ktoś się powiesił w lesie. Kogoś powieszono. Wieszali się także ludzie w mieście, czyli w Lidzbarku.

To byli mężczyźni. A co z kobietami?

Mam teraz w pamięci jedynie kobiety z greckiej mitologii. Słynne kobiety z tych starożytnych opowieści, jak Fedra, Jokasta

czy Erigone, wieszają się, aby ujść mężczyźnie, wyzwolić się spod jego absolutnych, bezpardonowych rządów. Śmierć wisielcza kobiet w mitach jest przestrzenią dramatycznej ucieczki ku wolności.

Kim była Margarete Ilse Koch, jedna z bohaterek pana książki?

To jedna z najbardziej przerażających figur nazizmu, żona Karla Ottona Kocha, komendanta obozu w Buchenwaldzie, główna nadzorkczyni obozu kobiecego, zwana też Wiedźmą z Buchenwaldu albo Ilzą Abażur. Przerazała nawet swoich hitlerowskich zwierzchników. Osobiście wybierała więźniów z ciekawymi tatuażami i zlecała wyrabianie rękawiczek, torebek lub abażurów z ich skóry. Uwielbiała – oprócz kąpieli w hiszpańskim winie, lesbijskich orgii z żonami oficerów, codziennej kopulacji z wieloma kochankami oraz publicznego onanizowania się półnago – torturowanie więźniów i więźniarek oraz przymuszanie ich do gwałtów na innych współwięźniarkach. Po wojnie, skazana na dożywocie, powiesiła się w celi więzienia w Aichach.

Powiedział pan kiedyś, że był pan wychowywany w kulturze słowa i baśni, która inicjowała potrzebę rzeczy fundamentalnych, takich jak śmierć. W jakiej baśni dzisiaj żyjemy i jaka jest w niej śmierć?

Przeważa pokusa, żeby była to piękna i tania bajka. Ale gdzieś tam jednak straszy baśń grimmowska bez happy endu. Nowoczesna kultura próbuje śmierć i cierpienie obłąskawić, zakłamać. Tworzy nam płytkie iluzje i powstaje baśń plastikowa, popkulturowa, baśń z supermarketu. A moja książka o wisielcu też jest baśnią, tyle że inną. Taką straszną baśnią o nas samych, o tym, że nicość pracuje w kulturze. Zdeptujemy ją, udajemy, że jej nie ma. Nie chcemy wiedzieć, że sięgnie po nas i nas unicestwi.

Jest coś, co chciałby pan powiesić na swojej prywatnej szubienicy?

Zło i pychę. Mimo różnych porażek wierzę w sprawiedliwość. I ciągle żywię nadzieję, że zrezygnujemy ze zła, przynajmniej z jego najbardziej dojmujących ekscesów. Chociaż zdaję sobie też sprawę, że wszystkie organizacje społeczne opierają się na przemocy, tej oswojonej, więc niewidocznej. Tak naprawdę chciałbym więc powiesić taką dziką, codzienną przemoc. Bo to ona jest pierwszym krokiem do przemocy niecodziennej i horrendalnej – takiej, jaką widzimy na wystawach czy dawnych rycinach.

Ale nie da się pozbawić świata zła.

Nie da się, ale ja naiwnie w to wierzę. Dramat naszej cywilizacji polega na tym, że jest ona pozbawiona wymagań, bez progów, a przecież w życiu są one potrzebne. Gdzieś to zgubiliśmy. Niestety, moje ukochane lata 60., których jestem dzieckiem, mają obecnie takie konsekwencje. Wyniesiony stamtąd sposób na zbudowanie wolności polegał na tym, żeby osiągnąć nie wolność polityczną, bo takiej nie mogliśmy mieć, ale wolność zachowań. A teraz to się rozhasało ponad miarę, prowadząc do zła.

A jak powiesiłby pan je?

Tak, żeby to przestało się ruszać. Żeby zdechło. Dokumentnie. A jeszcze przebiłbym to potem kołkiem jak wampira. Przyszpilił do ziemi. ■

„WE WŁADZY WISIELCA”, ZBIGNIEW MIKOŁAJKO, SŁOWO/OBRAZ TERYTORIA, 2013
 WYSTAWA „THE HUMAN BODY EXHIBITION”, NAJWIĘKSZE POLSKIE MIASTA

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁAJKO

>> filozof religii, historyk religii, eseista, kierownik Zakładu Badań nad Religią i profesor nadzwyczajny w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN